

Na ścieżkach minionych lat

W czerwcu 2000 r SPK w Wielkiej Brytanii zorganizowało wycieczkę na południowo-wschodnie Kresy pt. „Szlakiem Ogniem i Mieczem”. Mimo słabego zdrowia zdecydowałam się na tę wyprawę i teraz Panu Bogu dziękuję za natchnienie. Zwiedziliśmy bardzo dużo – Lwów, Olesko, Podhorce, Trembowłę, Buczacz, Halicz, Stanisławów, Kołomyję, Jaremcze, Kosów, Czerniowce, Chocim, Kamieniec Podolski, Tarnopol, Zbaraż, Krzemieniec, Łuck, Równe i wiele innych mniejszych miejscowości. Wiele, wiele wrażeń, które pozostaną do śmierci, wiele spotkań z nadzwyczajnymi ludźmi, którzy w nieludzkich omalże warunkach powoli odbudowują religijne, kulturalne polskie życie.

Mnie oczywiście najbardziej interesował teren od Zbaraża do Krzemieńca. W Zbarażu spotkałam, poznanego wcześniej w Anglii, o. Maksymiliana z zakonu Bernardynów. W niesamowicie trudnych warunkach stara się odbudować kościół, doszczętnie zdewastowany. O wszystko musi walczyć sam, a środków finansowych jest bardzo mało, gdyż została tam nieliczna grupa Polaków i to już w podszłym wieku.

O parę kilometrów dalej w drodze do Krzemieńca znajduje się Ko-

łodno. Przed wojną duża wieś z dwoma sołtysami. Stąd pochodzą moi rodzice. Sama wieś właściwie na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniła. Trochę może więcej domów, ale zagród mniej, gdyż Polacy zostali pomordowani w lipcu 1943 r. Jeśli sąsiad Ukrainiec nie zajął dawnego obejścia polskiego, to w tym miejscu jest pustka. Drogi okropne, którymi przejeżdżało kilka aut. Natomiast w centrum kompletna zmiana – tzn. pustka. Nie ma kościoła, dzwonnicy – są tylko resztki fundamentów. Nie ma budynków parafialnych, nie ma domu ludowego, wybudowanego przed wojną, nie ma pałacu Grocholskich, młyna, karczmy. Wszystko w lipcu 1943 r poszło z dymem, lub zostało rozebrane. Ale zarys ulic pozostał ten sam. Na cmentarzu odnalazłam wspólną mogiłę, w której znajduje się kilka osób z mojej rodziny – babcia Bielińska, ciocia Marynia, Tadzio Mazur, prawie 4-letni i kilku kuzynów. Spotkałam Ukrainkę, troszkę młodszą ode mnie. Mieszka naprzeciwko i jako mała dziewczynka przez okno na strychu widziała jak przywożono ciała pomordowanych – podobno (to jej słowa) ciała na wozie drabiniastym jeszcze drgały. Jej matka z babcią zabrały jakieś prześcieradła i przykryły trupy zanim zostały zasypane ziemią.

Ciężko im było tu żyć, a z tego co widzę, świat zatrzymał się dla nich w 39 r. W tej mogile spoczywają 92 osoby, a zginęło ponad 300. Byli rzućni do studni, różnych dołów lub paleni. Ojciec Maksymilian czasami odprawia tam, na grobie msze św.

W drodze do Wiśniowca mijamy cmentarz prawosławny (stary i nowy) i skręcamy w prawo, w kierunku osady. Serce zaczęło mi bić mocno, w oczach zakręciły się łzy. Polna dróżka skończyła się na naszej działce – poznałam ją dokładnie po pozostałościach jeziora



Bronisława Kacperek i Kazia Hawrot na tle Góry Bony

Następny postój to Zarudzie – mała ukraińska wioska. Tu była poczta, urząd gminny, szkoła i cerkiew. Tu mieliśmy sklep. Cztery klasy ukończyłam właśnie tu, zanim w 1938 r zdałam egzamin do cwiczeniarki w Liceum Krzemienieckim. Stoi cerkiew, ale droga biegnie tam, gdzie kiedyś stał urząd gminny, więc środek wsi przesunął się na wschód i nie widziałam czy jeszcze stoi budynek szkolny obok cerkwi.

i piwnicy w zaroślach naszego sąsiada. Jak okiem sięgnąć puste pole porośnięte makami, bławatkami i rumiankami. Po lewej stronie las i to wszystko. Jakies jedno zabudowanie pod lasem. Aż w uszach dzwoni pustka. Z życia osady nie zostało nic – w pamięci oczywiście widziałam ją całą wraz z jej mieszkańcami. W czasie zbierania kwiatów, które chciałam z sobą zabrać, przyszła do mnie myśl: „A może to i dobrze, że tu nic nie ma! Nie ma właścicieli – to niech stoi pusta.”

Obok naszej osady Reymontów, najbliższa była Wola Wilsona, po-



Widok z Góry Bony na Liceum Krzemienieckie

łożona po obu stronach drogi do Wiśniowca, a tam właśnie wyruszyliśmy. I znów pustka! Nie ma młyna po prawej stronie, ale nie ma też domów osadniczych, tylko wzdłuż drogi dość wysokie drzewa i krzaki, tak że właściwie nie widać nic.

Stary Wiśniowiec zdewastowany. Żydowskie sklepiki i zajazdy znikły, kościół i dzwonnica do połowy rozebrane, a w szczelinach rosną drzewka. Zachował się biały dom po prawej stronie przed Horyniem - nie wiem dlaczego, ale zdaje się, że tu był przed wojną sąd. Przy moście - stary drewniany młyn. Przekraczamy Horyń - kiedyś widoczny był stąd klasztor i szarą drogą kierujemy się do Krzemieńca przez Horynkę.

Krzemieniec od lutego 1940 roku zmieniony i „pusty”.

Kipiało tu życie a dziś, choć pięknie położony - jakiś dla mnie smutny. Oczywiście zwiedzamy sporo - oprowadza nas p. Jadwiga Gulska. Ja szukam swoich klas ćwiczeniarki i domów, w których mieszkałam. Są oba,

ale jak zmienione! Jak ja się cieszę, że tu jestem i chociaż ziele tu zniszczeniem, zdaje mi się, że czas powrócił i znów jest dawny, piękny Krzemieniec. Wjeżdżamy na Górę Bony. Kiedyś maszerowaliśmy wzdłuż Zjazdu Królewskiego na sam szczyt. Teraz już nie dałabym rady. Z Góry Bony miasto wygląda lepiej. Odszukuję różne miejsca i wciąż spoglądam na liceum, które dziwnie błyszczy. Czy to nie łyż. W promieniach słońca daleko na horyzoncie widać Ławrę Poczajarską.

Ciężko stąd odjeżdżać, bo czy jeszcze tu wrócę? Ale wdzięczna jestem losowi, że po 60 latach odnalazłam dawne kąty, a obraz tych stron, który nosiłam z sobą jest taki, jaki zapamiętałam!